

Po dwudziestu latach

Wskazówki zegara współczesnej historii szybko odmierzają czas. Mijają lata, daty, wydarzenia zacierają się w pamięci. Do 1980 roku ruch związkowy w Polsce był podporządkowany PZPR. Strajk w Stoczni im. Lenina w Gdańsku, który rozpoczął się 14 sierpnia 1980 roku, zniósł tę zależność. W sądzie 10 listopada 1980 roku zarejestrowano jeden ogólnopolski związek zawodowy, który już w przyszłym roku liczył blisko 10 mln członków. „Solidarność” stała się ruchem społeczno-politycznym, opozycyjnym wobec PZPR. Robotnicza partia już w Poznaniu w 1956 roku w robotnikach widziała „wroga klasowego”. Otworzono ogień do robotników, którzy pod hasłem „chleba i wolności” wyszli na ulicę. Partia wymierzyła „sprawiedliwość”: 75 zabitych, 900 rannych, 746 zaaresztowanych. Podobnie zbrodniczą „sprawiedliwość” partia wymierzyła 17 grudnia 1970 roku w Gdyni: 40 zabitych, 1000 rannych. Towarzysze nie mieli wyrzutów sumienia. Po tych zbrodniczych wydarzeniach w prasie informowali, że partia uczciwie rozliczyła się z wrogami ludu. Spontaniczny, wielomilionowy ruch społeczno-polityczny był największym zagrożeniem. Towarzysze wierni taktyce Lenina postanowili raz z politycznej władzy nie oddać nigdy. Dążąc do pozbycia się „Solidarności” za sceny politycznej generał Wojciech Jaruzelski od dawna przygotowywał w tajemnicy stan wojenny. Wprowadził go w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku. Głuche telefony, radia, telewizory. Wojsko, MO, SB, ZOMO na ulicach. Działaczy „Solidarności” internowano. Dziwny to termin: Polaków zamykali w więzieniach Polacy we własnym kraju. Tak było też w Wadowicach 13 grudnia. Dzień wcześniej, w sobotę, byłem na spotkaniu „Solidarności” nauczycielskiej w Kalwarii. Dyskutowaliśmy o przekrętach ideologicznych w programach języka polskiego i o „czerwonym harcerstwie”. Niestety moje wypowiedzi były nagrywane przez dyspozycyjnego nauczyciela. Po powrocie do domu zasnąłem zmęczony. O godz. 3:20 obudziło mnie łomotanie do drzwi. Otwierają, milicja! – usłyszałem. Nie spieszyłem się. Po balkonach w bloku można przedostać się do sąsiada. Łomotanie do drzwi nasilało się, zdenerwowana żona poczuła się źle, była w ciąży. Otworzyłem więc drzwi. Wpadli do środka. Było ich pięciu. Nie mieli nawet nakazu aresztowania. Przed klatką stała czarna wołga, wpełnęli mnie do środka. Byłem więc internowany z honorami. Wołga krążyła w kółko. Po pewnym czasie przyjechaliśmy na Komendę MO w Bielsku-Białej, potem wróciliśmy do Andrychowa i w końcu zawieziono mnie do Oświęcimia. Tej nocy po drogach całej Polski jechały więzienne suki. „Ludzie bez twarzy” eskortowali działaczy „Solidarności” do wyznaczonej komendy MO, gdzie wręczano im lub nie decyzje o internowaniu. W Oświęcimiu przeprowadzono mnie do czekającej już więziennej suki. W mroku z trudem rozpoznałem Stanisława Hanusiaka, Władysława Krocza i Andrzeja Nowakowskiego z Wadowic. Suka ruszyła, odgradzeni od nas metalową siatką siedzieli z automatami w rękach dwaj milicjanci. Godziny mijały w milczeniu. Przywieziono nas do Jastrzębia Zdroju, do więzienia w Szerokiej-dzielnicy górniczej usytuowanej na wzniesieniu nad miastem. Ze zgrzytem otwierano

metalowe więzienne drzwi. Chyba za trzecią bramą, za wysokimi metalowymi płotami wyprowadzono nas z samochodu. Po chwili znaleźliśmy się w parterowym budynku gdzie znajdowało się więzienne zaplecze. Tu kazano nam wysłuchać powtarzanego bez przerwy przemówienia szefa WRON. Usłyszeliśmy, że dla ocalenia Polski wprowadzono stan wojenny, bo przez „Solidarność” kraj znalazł się nad przepaścią. Później pojedynczo wyprowadzono nas do pomieszczenia, gdzie brutalnie zrobiono odciski wszystkich palców i zdjęciami. Opór przełamywano siłą. Staliśmy się numerem w drugim łańcuchu ekstremy, która zagrażała bezpieczeństwu państwa. Następnie strażnicy więzienni ustawili nas trójkami i każdą trójkę oddzielnie prowadzili do wyznaczonego „pawilonu”. Tak nazywano długie żelbetonowe baraki z korytarzem w środku i celami po jednej i drugiej stronie. Znalazłem się w celi piątej w „pawilonie” pierwszym, blisko murów więzienia. Kolejno przyprowadzano tu internowanych z Wadowic: Stanisława Hanusiaka, Andrzeja Nowakowskiego, Władysława Krocza, Andrzeja Zawilę, rolnika z Babicy i trzech górników z Jastrzębia. Cella to betonowe pudełko 3,5x4 m. W oknie grube kraty, pod oknem stary, zapowietrzony kaloryfer. Na środku kwadratowy stół i cztery metalowe taborety. Przy odrapanych ścianach trzy piętrowe metalowe prycze, dwie były ustawione w środku za stołem. W kącie obok żelaznych drzwi z „judaszem” wiadro zastępowało urządzenia sanitarne. W misce zamarnięta woda. Patrzyliśmy na to z przerażeniem. Na pryczach były stare dziurawe materace, prześcieradło, dwa koce i mała poduszka. Przez dwa tygodnie byliśmy zamknięci w tej zimnej celi. Pozbawiono nas nawet więziennego spaceru. O świcie do celi wchodziło trzech „klawiszów”, liczyli więźniów jeden z nas wynosił wiadro i przynosił wodę w misce. Trzy razy dziennie więźniowie z wielkimi literami ZK na bluzach przynosili posiłki. Śniadanie i kolacja to czarna kawa, dwie kromki chleba z margaryną, a na obiad źle ugotowany okrągły groch, trochę kaszy. Czasem można tu było znaleźć kawałek mięsa, słoniny, częściej jakieś robaki rozgotowane w kaszy. Dopiero w Święta Bożego Narodzenia naczelnik więzienia kazał pootwierać cele. Wyszliśmy na długi korytarz. Przyniesiono dosyć dobrą kolację. Późnym wieczorem pootwieraliśmy okna od strony górniczego osiedla. Internowani z cel z drugiej strony baraku przyszli do nas. Przy oknach śpiewaliśmy kolędy, Boże coś Polskę i solidarnościowe pieśni. W górniczych blokach nas usłyszeli, w oknach ukazały się migotliwe światełka świec. Zaniepokoiło to naczelnika. Wkroczyła służba więzienna, pozamykała okna, zmusiła wszystkich do powrotu do swoich cel i pozamykała drzwi. Zgrzytały metalowe zasuwki. W nocy w wielu celach wyważono drzwi przy pomocy metalowych części od łóżek, które znajdowały się na końcu „pawilonu”. Nie wszystkie drzwi udało się wyważyć, ale wielu wydostało się na korytarz. Części te wyznaczona grupa przygotowała w czasie zbiorowego śpiewu. Był to wspólnie przygotowany protest przeciwko łamaniu praw więźnia politycznego: zamknięcie w celach, odmówienie prawa do więziennego spaceru, nie powiadomienie rodzin o miejscu pobytu internowanych... Górnicy z osiedla w Szerokiej podejmowali próby przyjscia z pomocą internowanym. O nieludzkich warunkach w więzieniu mówił w kościele ks. prałat Łatko. Mówiło się też o wspólnym buncie więźniów ZK i internowanych. Wzmocniono wojskową ochronę więzienia. Na zewnątrz, za więziennymi murami ustawiono samochody opancerzone, a z okien niektórych cel widać było długie lufy czołgów. W więzieniu w specjalnych barakach umieszczono dodatkowe grupy zomowców. Naczelnik spotkał się z wybra-

nymi przez nas negocjatorami i zgodził się przywrócić niektóre przysługujące nam prawa. Rozbite drzwi naprawiono, tylko na noc zamykałyśmy je drewnianymi zasuwami od wewnątrz. Tak broniliśmy się przed nocnymi rewizjami. „Kipisz” to psychologiczne nękanie więźniów. W środku nocy oficer z kilku zomowcami wpadał do celi. Wyprowadzali nas boszo na korytarz, a oni przeprowadzali rewizje. Zabierali żyłетки, noże, notatki, ołówki, szukali czegoś w podartych materacach. Ubrania rzucali na ziemię i odchodzili... Uzyskaliśmy też zgodę na półgodzinny spacer, korzystanie z łaźni raz na dwa tygodnie, zmiany więziennej bielizny i możliwości wysłuchania dziennika telewizyjnego na zmianę w grupach. Telewizor znajdował się w pomieszczeniu przy bramie wejściowej do baraku. Tam też ustawiono stół ping-pongowy, zachęcając do organizowania rozgrywek. Pozwolono też napisać krótki list do rodziny z informacją, że raz na miesiąc możemy otrzymać 2-3 kg paczkę z żywnością. Listy trafiały na komendę MO, gdzie można je było odebrać po dokonanej cenzurze. Do nas pierwszy mój list przyniosła do domu pani Kroczek. Żona na milicję nie chodziła. W Szerokiej „opiekunem” internowanych z Podbeskidzia był kpt. Modrzyński (nazwisko przybrane). Po 13 grudnia wzywał na rozmowę i skłaniał do podpisania oświadczenia o zaprzestaniu działalności politycznej i o współpracy z SB. Każdy z naszej celi był przynajmniej raz na takiej rozmowie. Ze mną rozmawiał krótko, przypominał niektóre wydarzenia z „bezpprawnej” działalności w Wadowicach, cytował moje wypowiedzi ze spotkania „Solidarności” nauczycielskiej w Kalwarii i perfidnie zapytał o listy dzieci funkcjonariuszy SB, MO, które miałem sporządzać w szkole nr 1. To mnie zaskoczyło i nie chciałem dalej rozmawiać. Powiedziałem tylko, że zostałem bezprawnie uwięziony, nie otrzymałem nawet decyzji o internowaniu. Po przyjeździe z takiej rozmowy każdy zdawał szczegółowe relację. Tak ustalił siedzący z nami przewodniczący „Solidarności” w kopalni Borynia, Nojman. Imienia już nie pamiętam. Najczęściej w tych pierwszych dniach wzywano na rozmowę rolnika Andrzeja Zawilę. Nojmanowi to się nie podobało, dokuczał mu. Prawdą jest to, że przed świętami rolnik wrócił do domu. Za kilka dni zabrano na izbę chorych Stanisława Hanusiaka. Czuł się coraz gorzej. Już chorego zabrano go z domu. Żona wtedy leżała na zapalenie korzonków nerwowych, a on chorował na kamicę żółciową. Łomotano do drzwi, dzieci płakały. W końcu je wyważono i siłą zabrano Stanisława. Z izby chorych zwolniono go kilka dni później, bo miał przy sobie termin operacji na klinice w Krakowie. Odwiedził moją żonę i udzielił pierwszych informacji o sytuacji internowanych w Szerokiej. Chorował też Władysław Kroczek, dokuczało mu serce. Znosił to po męsku, leżał cicho na pryczy, dobrze że miał przy sobie nitroglicerynę. Później nitroglicerynę przywiozła mu żona. Został zwolniony ze względu na stan zdrowia. Wolne miejsca w celach zajmowali działacze aresztowani w stanie wojennym. Niestety wśród nich znajdowali się współpracownicy SB. Jednym z nich był Eugeniusz Winkler, podobno przewodniczący „Solidarności” w Rudzie Śląskiej. Starał się ze mną zaprzyjaźnić. Zaufany „klawisz” przeniósł gryps do działającej aktywnie w Jastrzębiu podziemnej „Solidarności”. Odpowiedź była jednoznaczna. W Rudzie Śląskiej nikt takiego przewodniczącego nie znał. Winkler zorientował się, że jest spalony. Na drugi dzień został zwolniony z internowania. Jego miejsce zajął następny. W drugiej połowie stycznia kpt. Modrzyński spotkał się z wyznaczonymi kolejno internowanymi z Podbeskidzia, nakłaniał do wyjazdu z kraju, rozdawał dokumenty, po wypełnieniu których można skorzystać z szansy. Poszedłem

na jedno takie spotkanie i upomniałem się o decyzję o internowaniu. W końcu decyzję nr 199/s bez daty otrzymałem. Sam wpisałem datę 26 stycznia 1982 roku. Komendant wojewódzki MO uznaje w niej, że pozostawienie na wolności obywatela Józefa Zemana zagrażałoby bezpieczeństwu państwa i porządkowi publicznemu przez prowadzenie działalności propagandowej wrogiej w stosunku do PRL i przez nawoływanie do nieposłuszeństwa prawnym rozporządzeniem organów państwowych. Jedyną przyjemnością dla nas, o której dotychczas nie wspominałem, był wymuszony na naczelniku spacer. Jako trenerowi zaproponowano mi prowadzenie zajęć w formie zabawowej. Po nabraniu przez większość wytrzymałości zabawy zamieniały się w intensywne ćwiczenia ze współwiczającymi i długą zabawę biegową. Przedłużaliśmy te zajęcia do godziny, a nawet dłużej. „Klawisze” obserwowali nas ze zdziwieniem a nawet z lękiem. Nie odważyli się ćwiczeń przerwać. Po tej dygresji wracam do trudnych więziennych wydarzeń. Rzecznik rządu Urban w dziennikach telewizyjnych zapewniał, że internowani przebywają w ośrodkach wczasowych, korzystają z praw gwarantowanych im przez dekret o stanie wojennym. Rodzinom zezwala się na odwiedziny, księżom na odprawianie mszy. Słuchała tego Polska i nie tylko, trzeba więc było rygor więzienny złagodzić. Raz w miesiącu zaczęły odwiedzać nas rodziny w baraku zomowców. Prałat Łatko czasem uzyskiwał zezwolenie na odprawianie mszy w „pawilonie” i na posyłanie paczek. Z internowanymi w Szerokiej dwukrotnie próbował się spotkać ks. kardynał Franciszek Macharski. Dopiero za drugim razem stało się to możliwe, udzielił spowiedzi, odprawił mszę. Mnie odwiedziła żona, jeden jedenastoletni syn Ryszard i siostra Jadźka. Trochę się uspokoiłem. Przyjaciele nie przestraszyli się dekretem o stanie wojennym. Zgodnie z etosem „Solidarności” zajęli się ciężarną kobietą. Była to spontaniczna pomoc, której nigdy nie zapomnimy. Okazywali ją nawet nieznanymi mi ludźmi. Dzięki okazanemu sercu Zdzisława nie załamała się i mimo choroby, nerwowych przeżyć, urodziła. Do mieszkania na Poprzecznej przychodziło niosąc pomoc wielu. Pisząc te wspomnienia o stanie wojennym po dwudziestu latach chcę wszystkim wyrazić wdzięczność. Za troskliwą opiekę dziękuję lekarzom: państwu Chmurom, państwu Kiernickim, Zygmuntowi Pukle, księżom: ks. rektorowi Dąbskiemu z Zakonu Palotynów, ks. Gurdkowi z Zakonu Karmelitów.

Księżda rektora Dąbskiego przyprowadziła do żony pani Dulban. Pocieszał, pomógł finansowo, kilkakrotnie przynosił żywność, starał się skrócić okres mojego internowania. Z pomocą od członków „Solidarności” przychodzili Wiesław Wojtowicz, Zofia Ficek, Stanisław Hucisko, Zbigniew Jurczak, Mieczysław Curzydło, Zdzisław Szczur. Wszystkim dziękuję za okazane serce. Przepraszam, że może nie wymieniłem wszystkich, którzy nie obawiali się wtedy przyjść do mieszkania w bloku na Poprzecznej. Po zobaczeniu bliskich i po informacjach o spontanicznej pomocy dużo łatwiej znosiłem więzienny rygor. Mniej już było bezsennych nocy, w czasie których patrzyłem zza krat na więzienne mury. Reflektory przesuwwały się po wielkim zaśniewionym obszarze wokół baraków, ukazując wąski pas ograniczony dwoma wysokimi płotami z żelaznej siatki. Po tym pasie biegały więzienne wilczury jakby chciały pochwycić przemieszczające się promienie światła. Zbliżała się wiosna. Środkiem baraku w starych, popękanych i zamulonych rurach z trudem płynęły ścieki. Nieprzyjemny odór czuć było wszędzie. Zaczęły przejeżdżać komisje Polskiego i Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Pojawiła się groźba epidemii. Zgodnie z zaleceniami tych komisji postanowiono nas

przewieźć w Bieszczady. Dzień wcześniej dostałem „gryps”, żeby się zgłosić do lekarza więziennego, znajomego mojego przyjaciela, Stanisława Chmury. Badania celowo trwały długo. Wieczorem karetka przewiozła mnie do Szpitala Górniczego w Jastrzębiu. Zostałem przyjęty 22 marca 1982 roku. Przez miesiąc żyłem w innych warunkach. Komisja SB często kontrolowała karty chorobowe internowanych leżących w szpitalu. Ja ich nie interesowałem, nie było mnie na liście internowanych ze Śląska ani z Podbeskidzia. Należałem do „Solidarności” w Małopolsce. Ordynator tego nie rozumiał. W szpitalu odwiedziła mnie rodzina i przyjaciele z nauczycielskiej „Solidarności”: Elżbieta Suknarowska, Adam Zborowski, Marian Nizio, Zenon Szłęk. Marian starał się o moje zwolnienie z ramienia SD u wojskowego komisarza WRON w Bielsku-Białej. Przed Świątami Wielkanocnymi w szpitalu nawiązali ze mną kontakt działacze górniczej „Solidarności”. Umożliwili mi przejazd spod kopalni Manifest Lipcowy górniczym autobusem do Kęt. Załatwiła to też rodzina. Na opuszczenie szpitala wyraził zgodę ordynator. Zapewniał, że zawsze mogę wrócić, będzie zarezerwowane łóżko. Rano 23 kwietnia wsiadłem do górniczego autobusu. W domu dużo radości, urodził się Mariusz, wszyscy byli zdrowi. Miałem się zgłosić na milicję, nie miałem dowodu osobistego, ale w niedzielę życzliwy milicjant ostrzegł, że mogę mieć kłopoty. Teczki osobowe internowanych z Szerokiej wraz z dowodami osobistymi znajdowały się w Ośrodku Odosobnienia w Zabrze. W poniedziałek 26 kwietnia o świcie siatkarz Zbigniew Woźny bez interesownie zawiózł mnie swoim samochodem do szpitala w Jastrzębiu. Jakoś szczęśliwie ominął posterunki wojska i milicji na drogach. W szpitalu jednak nie było dla mnie miejsca. Zgłosiłem się więc na Komendę Wojewódzką MO w Bielsku-Białej. Konsternacja. Postawiłem sprawę jasno albo mnie wysyłają do Bieszczad, albo wystawią dowód osobisty i pozwolą pracować, bo ktoś musi się zająć rodziną. Po długim oczekiwaniu postanowili mnie skierować do pracy w szkole. Wydawało się, że jestem wolny. Wróciłem do Wadowic. Po dwóch dniach energiczne pukanie do drzwi. Milicjant zabrał mnie na komendę. Znowu byłem przesłuchiwany. Otrzymałem nowy dowód osobisty. Zatelefonowano do wydziału Oświaty i po wielu wyjaśnieniach pozwolono mi pracować w szkole. Po tygodniu polecono dyrektorowi szkoły nr 1 w Wadowicach odebrać internowanemu lekcje języka polskiego, bo może źle oddziaływać na młodzież. Pracowałem odtąd jako nauczyciel wychowania fizycznego. Miałem swoich opiekunów-dwóch esbeków, którzy interesowali się wszystkim, co robię. Prowadzili ze mną rozmowy w domu, w szkole i w komendzie MO. Dopiero 27 lipca 1982 roku otrzymałem pocztą oficjalne Świadectwo Zwolnienia Internowanego z Ośrodka Odosobnienia w Zabrze.

Kolejna rocznica. Po dwudziestu latach wspomnienia sprzed lat klóć się z dzisiejszą rzeczywistością. Budzą się ponure refleksje. Ginęli ludzie na polskich ulicach z rąk Polaków opętanych chorobą, komunistyczną ideologią. Nikt nie wie, gdzie zostali pochowani. Polacy odebrali Polakom prawo do światła pamięci. Zapelniali się więzienia, jedni donosili na drugich. Sprzeciwiających się oddzielano od rodzin, pozbawiano pracy. Za władzę, stanowiska, przywileje towarzysze wydali wojnę własnemu narodowi. W służbie czerwonego imperium zła utracili honor i godność człowieka. Bronią się sofizmatem, że wybrali mniejsze zło. Kiedy w końcu dosięgnie ich sprawiedliwość?

★

Józef Zeman – internowany w 1981 r., obecnie emerytowany nauczyciel.